

Steven Gould

Brzoskwinie dla szalonej Molly

W nocy wiatr oderwał od zachodniej ściany budynku, pewnie gdzieś w okolicy 630 piętra, jakiegoś jednozaczepowca. Słyszałem go, gdy przelatywał koło mnie wrzeszcząc wniebogłosy, jakby chciał wykorzystać ostatnią okazję do wyrażenia swojej opinii, chociaż szansa ta nadeszła tak niespodziewanie, że z całą pewnością nie zdawał sobie do końca sprawy, na czym ona polegała. Wkrótce potem uderzył w przekaźnik mikrofal na piętrze 542, nawet dość mocno, i już było po szansie. Czterdzieści pięć sekund później jego szczątki wylądowały w Zatoce Buffalo. Aligatory były chyba bardzo zadowolone.

Nie wiem, czy nawalił mu blok, pękła lina, czy może dureń nie umiał po prostu zawiązać porządnego węzła. W każdym razie nieźle mnie nastraszył. Położyłem się z powrotem spać dopiero wtedy, kiedy sprawdziłem wszystkie cztery punkty zaczepienia, liny i węzły. Czy on naprawdę musiał tak wrzeszczeć?

Nic z tego, i tak usłyszałbym, jak rozwała się o pręty anteny. Głupi jednozaczepowiec.

Następnego ranka obudziłem się dużo wcześniej niż zazwyczaj, ktoś bowiem szarpał za jedną z moich lin w tempie adagio, bum, buty jak w drugiej części VII Symfonii Ludwiga. Była to Szalona Molly.

- Nie śpisz, Bruce? - zapytała.

- Już nie - jęknąłem. Wcale nie nazywam się Bruce. Molly, nie wiesz, czemu, nazywa wszystkich tym imieniem. - Szto eto, Molly?

Przycupnęła na jednym z metrowych sześcianów rozmieszczonych na ścianach budynku w celu wytworzenia warstwy mikrozawirowań powietrza. Ubrana była we wściekle kwieciste, szkarłatne kimono, jadownicze zielone szorty, bluzę i jedwabne skarpetki. Jaskrawo-pomarańczowa lina asekuracyjna, wypełzająca spod kimona niczym wąż kryjący głowę w jego fałdach, niknęła za rogiem budynku

- Mam przesyłkę dla Bruce'a, Bruce.

Odwróciłem się i spojrzałem w dół. W twarz uderzył mi podmuch wilgotnego wiatru. W ciągu nocy napłynęły niskie chmury kryjąc podnóże wieży, ale jej cień kładł się wyraźną, długą krechę na kłębiastą, szarą powierzchnię.

- O rany, Molly! Przecież wiesz, że on zaczyna służbę dopiero za godzinę. - Cholera, a więc już się zgodziłem! - W porządku. Wpadnę do ciebie, jak tylko się ubiorę.

Mrugnęła dwa razy. Jej oczy były jak dwa kamyki w twarzy tak pomarszczonej i spalonej przez słońce, że nie sposób było odgadnąć jej wieku.

- Dobra, Bruce - powiedziała, po czym wstała i zeskoczyła z sześcianu. Po pięciu metrach lina napięła się i pociągnęła ją skosem w bok, za róg budynku.

Dopiero wtedy wypuściłem powietrze z płuc. Nie darmo nazywa się ją Szaloną Molly.

Ubrałem się, popiłem wody ze zbiornika, odlałem się na chmury (a co miałem innego zrobić?) i zwinąłem śpiwór.

Południowa ściana błyszczała oślepiająco w słońcu, oświetlona dodatkowo promieniami odbijającymi się od wiszącej w dole powłoki chmur. Na rogu założyłem więc szkła.

Gniazdo Molly zwisało niczym siedlisko os z rury wylotu klimatyzacji na 611 piętrze. Zostało utkane, uszyte, sklecone, powiązane, pospinane i połączone w jedną całość. Wyglądało dokładnie tak, jak wygląda gniazdo os na błyszczącej, chromowanej rurze. Nie wtapiało się w tło.

Znajdująca się jakieś dwa piętra niżej klatka na gołębie jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Została wykonana z papieru, arkuszy plastyku, drutu i cała była upstrzona ptasimi odchodami. Wisiała akurat tam, gdzie wisiała, ponieważ tylko głupiec mieszka pod strającymi ptakami, a Molly, chociaż szalona, z całą pewnością nie była głupia. Siedziała u wejścia do swego gniazda, balansując na piętach niczym jeden z jej gołębi. Gapiła się przed siebie i coś gniewnie mruczała.

- Co się stało, Molly? Żle spałaś?

Spojrzała na mnie ostro.

- Ten cholerny Bruce znowu porwał mi wczoraj trzy ptaki.

Przywiązałem tobolek do jakiejś klamry w ścianie.

- Który Bruce, Molly? Mówisz o jastrzębiu?

- Tak, właśnie ten. A potem ten drugi Bruce spada w środku nocy i potem nie mogę już zasnąć, tylko nasłuchuję, czy nie nadlatuje ten cholerny jastrząb. - Cofnęła się robiąc mi miejsce.

- Jastrzębie nie polują w nocy, Molly.

Wzruszyła ramionami.

- I co z tego? A wiesz, co by było, gdyby ten parszywy, cholerny Bruce dostał się do klatki? Wymordowałyby mi w jedną noc połowę ptaków. -

Ostrymi, gwałtownymi ruchami zaczęła zwijać jedną ze swoich lin. - Nie wiem, czy to jeszcze ma sens, Bruce. Gorąco latem. Chłodno zimą. Ci ze środka zamiast na Wyjców polują na mnie, Wyjce każą dawać sobie ptaki, bo jak nie, to mnie odetną. Jak nie ma słońca, to nie mogę gotować, chyba że oddam rękę albo nogę na opał. Nie ma świeżych warzyw ani owoców. Ten szurnięty facet z pomocy społecznej, co ma lęk wysokości, przychodzi co jakiś czas i pyta, czy może mi pomóc. Mówię, że tak, żeby mi przyniósł trochę owoców, a on przynosi podanie o powtórne przyjęcie do budynku! Boże, zabiłabym kogoś za świeżą brzoskwinię! Chyba lepiej by mi było tam, w środku.

- Być może, Molly. Lata lecą.

- Gównu wiesz, Bruce! Zwariowałeś, czy co? Miałabym zamienić ten widok na sześć ścian? Oddychać tym świństwem, co oni wszyscy? Zostawić moje ptaki? Zrezygnować z wolności? Do cholery, po czyjej ty właściwie jesteś stronie?

- Po twojej, Molly - roześmiałem się.

Klnąc cały czas pod nosem zaczęła wiązać gołębie.

Przeglądałem się wyblakłym wycinkom z gazet, które przyklejała bezpośrednio do ściany budynku. W świetle sączącym się przez plastikowe płyty tworzące dach dostrzegłem na jednym z nich Molly stojącą na szczycie McKinley. Data pod zdjęciem świadczyła, że było to dwadzieścia lat temu. Obok artykuł o jej drugiej próbie wejścia na Everest.

Doniesienia o wspinaczkach na drapacze chmur w Nowym Jorku, Chicago i Los Angeles. Moją uwagę przykuła datowana wzmianka o jej udanym wejściu

na południową fasadę El Capitan. Kończyła wtedy dokładnie czternaście lat. Spojrzałem jeszcze raz, żeby dokładnie zapamiętać, jaki to dzień.

Musiałem policzyć w pamięci, żeby być zupełnie pewnym. Jutro Szalona Molly miała urodziny.

Bruce, o którego chodziło, nazywał się Murry Zapata i był strażnikiem zewnętrznym terenów rekreacyjnych na południowym balkonie 480 piętra. Oznaczało to, że będę musiał zanieść ptaki 131 pięter w dół, czyli nieco ponad pół kilometra. A potem wrócić.

Nawet tutaj, na wieżowcu Le Bab, gdzie co metr lub półtora znajdowały się jakieś klamry, wyloty powietrza albo te metrowe sześciany, me było to wcale łatwe zadanie. Nie opłacało mi się iść tylko z gołębiami Molly, więc opuściłem się pięć pięter niżej, by zobaczyć się z Lennym.

Naprawdę trudno jest poruszać się dokoła jego mieszkania, bo na każdej płaszczyźnie poziomej stoi jakaś skrzynka albo doniczka.

Zahaczyłem się więc na jego wysokości i krzyknąłem, ile sił w płucach:

- Hej, Lenny! Schodzę w dół. Masz coś dla Murry'ego?

Wyprostował się, przerywając walkę z kępą kopru.

- Tak, zaczekaj chwilę.

Miał na sobie tylko szorty i uprząż. Był cały brązowy. Gdybym ja zrobił coś takiego, zamieniłbym się w plantację czerniaków.

Lenny zniknął we wnętrzu swego namiotu, ja zaś ruszyłem w tamtą stronę, lawirując ostrożnie między roślinami. Czuję zapach ziemi - tutaj w górze bardzo rzadko spotykany. Bogaty, wręcz namacalny. Budził wspomnienia świeżo zaoranych pól lub dopiero co wykopanych grobów. Kiedy dotarłem do namiotu, Lenny wyszedł trzymając w ręku niewielką torbę.

- Co tam masz? - zapytałem.

Wzruszył ramionami. .

- Czosnek, kminek i anyżek. Waga jest podana na opakowaniu. Murry nie powinien mieć z tym kłopotu; chicanos nigdy nie mają dość czosnku.

Powiedz mu, że w przyszłym tygodniu będę miał trochę tych małych chili muy caliente.

- Kapuję.

- Aha, przy okazji: Fran wczoraj kazała ci powtórzyć, że ma kilka stokrotek.

- Dobra. Czy ty hodujesz jakieś owoce, Lenny?

- Na tych półkach? Myślałem kiedyś o karłowatej pomarańczy, ale zrezygnowałem. Mam trochę jeżyn, ale jeszcze nie dojrzały. Drzew nie ma gdzie zasadzić. W zeszłym roku posadziłem kantalupę, ale to za dużo kłopotu. Potrzebne są znacznie większe grządki niż moje.

- Tak tylko zapytałem. - Jego torebka dołączyła do gołębi znajdujących się w plecaku. - Mogę późno wrócić.

- Wiem, wiem - pokiwał głową. - Lepiej, że idziesz ty, a nie ja.

Ostatnim razem Wyjce zabrali mi wszystkie pomidory. Uważaj tam na dole. Zajęli cały obwód między 520 a 530.

- Doprawdy? Na szczęście to w niczym nie narusza mojej władzy zwierzchniej.

Wzruszył ramionami.

- Po prostu bądź ostrożny. Mogę się zgodzić na małą działkę dla nich. Na przykład kilka ząbków czosnku.

- Jeszcze nikt nigdy nie brał działki z mojego ładunku. I nikomu to

się nie uda.

- A Daktyl?

- Nie miałem z nim żadnych problemów. To tylko dzieciak.

Lenny wzruszył ramionami.

- Niejednego już posłali na dół - zauważył. - Uważaj, bo jak cię zepchną, to będziemy musieli szukać kogoś nowego do kursów. Bądź ostrożny.

- To właśnie robię najlepiej.

Fran mieszkała za rogiem, na wschodniej ścianie. Pielęgnowała kwiatki, przyjmowała szycie i pranie, a kiedy promienie słońca padały na jej baterię słoneczną, oglądała telewizję.

- Dlaczego nie mieszkasz w środku, Fran? Mogłabyś całą dobę oglądać telewizję.

Uśmiechnęła się do mnie; muszę przyznać, że nie było w tym nic nieprzyjemnego.

- No, pewnie. I zaraz ważyłabym ze sto kilo po tych syntetycznych świństwach, które tam jedzą, bo nie miałabym gdzie się ruszać i musiałabym mieć pozwolenie, żeby hodować choćby jednego nędznego kwiatka, dodatkowy przydział watów na światło dla niego i tak dalej, i tak dalej. Jak mają wsadzić mnie do trumny, to dopiero po śmierci.

- Przecież mają sale gimnastyczne, ruchome bieżnie i balkony rekreacyjne.

- Wielkie mi co. Zamknij się na moment, bo muszę zobaczyć; czy Bob ciągle wścieka się na Sue, dlatego że odkrył romans Marilyn z lekarzem jej matki: Jak wejdzie reklama, narwę stokrotek.

Odwróciła się do ekranu. Czekałem, przyglądając się jej bławatom i bratkom.

- No tak, miałam rację. Marilyn sypia z matką Sue. Wszystko, dobrze się skończy. - Wsadziła telewizor do kieszeni i zajęła się przygotowaniem dla mnie stokrotek. - W przyszłym tygodniu będę miał peonie. - Kiedy umocowywałem bukiet na zewnątrz plecaka, żeby nie zgnieść płatków, Fran zbliżyła się do mnie.

- Wpadniesz, kiedy będziesz wracał?

- Może - skinąłem głową. - Ale chyba i tak nie wpasuję się w twój rozkład jazdy.

Cofnęła się.

- Bardzo bym chciał, Fran, serio, ale chcę dać Molly na urodziny trochę świeżych owoców i nie wiem, gdzie będę ich szukał.

Odwróciła się ode mnie i wzruszyła ramionami. Stałem jeszcze przez moment, a potem odszedłem, czując ogarniającą mnie złość. - Kiedy obejrzałem się, oglądała znowu telewizję.

Wyjce zagarnęli dziesięć pięter Le Bab wraz z otaczającą je przestrzenią. Były to cztery prostokąty o wymiarach czterdzieści na dwieście pięćdziesiąt metrów każdy, czyli w sumie czterdzieści tysięcy metrów kwadratowych powierzchni. U podstawy każdy z boków wieżowca liczy sobie kilometr długości, ale potem stopniowo się zwężają, aż wreszcie na wysokości trzech tysięcy metrów mają już tylko po dwadzieścia metrów. Zachłanność Wycjów była mi bardzo na rękę, bo jest ich tylko około trzydziestu pięciu, a czterdzieści tysięcy metrów kwadratowych to naprawdę bardzo dużo. Spuszczając się powoli na 529 okrążyłem jednocześnie budynek. Spora grupa opalała się w hamakach na południowej

ścianie, jednego lub dwóch zauważyłem na wschodniej, ale największe zgromadzenie było na zachodniej ścianie. Na północnej dostrzegłem tylko jednego.

Tam właśnie, trzymając się z dala od osamotnionego osobnika, opuściłem się na 521 i złożyłem w pół moją najdłuższą linę. Była błękitna, miała sto metrów długości i dwanaście milimetrów średnicy. Owinałem ją dokoła jednego z sześciaków, zaczepiwszy o drugi w miejscu złożenia; oba końce zwisały wolno. Pętlę przesunąłem do samej ściany, żeby przypadkiem nie spadła, po czym zahaczyłem karabinek o podwójną linę. Tymczasem facet zauważył mnie i zaintrygowany zaczął przemieszczać się po sześciakach w moją stronę. Strąciłem nogą zwiniętą linę - opadła idealnie, bez żadnych węzłów ani zahaczeń. Krzyknął coś. Nie czekając skoczyłem, dłonią zabezpieczoną rękawiczką trzymając linę w miejscu, gdzie wychodziła z karabinka. Na przebyciu czterdziestu metrów potrzebowałem pięciu skoków i dziesięciu sekund. W połowie drogi usłyszałem, jak wzywa pozostałych i jak ci wylażą zza rogu. Na 518 wyhamowałem i przywarłem do ściany. Najbliższy Wyjec miał do mojej liny jeszcze jakieś piętnaście metrów, ale przyspieszał. Znalazłem dobry punkt oparcia i szarpnąłem mocno za jeden koniec liny, posyłając w górę sinusoidalną falę. Dotarła bez przeszkód do końca; obluźwana lina zsunęła się z sześciaku, dokoła którego była owinięta, i spadła. Usiadłem, zapierając się najmocniej, jak tylko mogłem. Stumetrowa lina waży około ośmiu kilogramów i jej szarpnięcie mogłoby łatwo strącić mnie z sześciaku, na którym się znajdowałem.

Strasznie wrzeszczeli, ale żaden nie zdecydował się, żeby za mną ruszyć. - Zostawcie sukinsyna - usłyszałem w pewnym momencie. - Będzie musiał tędy wracać. Wtedy damy mu nauczkę.

Wszyscy strażnicy handlują. To dobre zajęcie dla kogoś, kto jest w środku. Nawet to, co powstaje wewnątrz wieżowca, prędzej czy później trafia na zewnątrz. Nie ma tutaj żadnych kontroli, kamer telewizyjnych ani szpicli. Tylko Wyjce, którzy w jakimś sensie stanowią odpowiednik tego wszystkiego.

Murry jest inny niż reszta strażników. Nie handluje koką ani haszem, ani innymi farmakologicznymi świństwami, i traktuje nas jak ludzi. Mówi, że sam kiedyś był na zewnątrz. Wierzę mu.

- No, Murry, jak tam twoja żona? Urodziła już?

- Jeszcze nie. I żebyś wiedział, jak już ją zmęczyła ta ciąża. Brzuch ma o, taki - wyciągnął przed siebie ręce. - Powiedz Fran, że chcę coś specjalnego, jak już się rozsypie. Może różę.

- Psiakrew, Murry, przecież wiesz, że Fran nie będzie miała róż. Na pewno nie w tych pieprzonych doniczkach, Lilie, może tak. Zapytam ją. Wisiałem w mojej uprzęży na zewnątrz klatki otaczającej balkon, Murry zaś stał w środku, wachając stokrotki. Na balkonie w pewnej odległości od nas jakieś dzieciaki grały w piłkę, a kilkoro dorosłych wyglądało na zewnątrz przez kraty. Niektórzy przyglądali mi się, ale nie zwracałem na to uwagi.

Murry odliczył zapłatę za ładunek i podał mi przez kraty, a ja schowałem ją do zapinanej na suwak kieszeni. Potem wyciągnął rzeczy, które zamówiłem poprzednim razem. Powędrowały, jedna za drugą, do plecaka.

- Masz tu czasem jakieś świeże owoce, Murry?

- Czy ja, chłopie, wyglądam na milionera? Te chłopaki mieszkają powyżej 750. Do diabła, kiedyś byłem w eskorcie na 752 i kiedy oni sobie gadali, ja czekałem na patio. Kurczę, ten gość miał jabłka, gruszki i wiśnie! W i ś n i e! - potrzęsnał głową. - W ogóle, dziwnie tam było. Żadnych krat ani nic. - Zacisnął palce na żelaznym pręcie. - Tylko barierka do piersi, i to wszystko.

- Ja myślę. Nie muszą się o nas martwić, bo mają przecież granicę na 650. Założę się, że wyżej pełno otwartych balkonów.

- Zamilkłem na moment. - No nic, muszę już iść. Czeka mnie daleka droga.

- Lepiej, że ciebie niż mnie. Nie zapomnij powiedzieć Fran o tych ekstra kwiatkach.

- Dobra.

Czekali na mnie na południowej ścianie, wszyscy Wyjce, ilu ich tylko było, milczący i czujni. Zatrzymałem się cztery piętra poniżej, żeby odpocząć. Przy okazji zwinąłem linę asekuracyjną i schowałem do plecaka. Siedziałem spokojnie, czując na plecach ciężar piętnastu kilogramów sprzętu i towarów, i patrzyłem na świat.

Wiatr wiał teraz bardziej z południowego zachodu i był mniej wilgotny niż rano. Przybrał także na sile, ale liczne sześciany sprawiały, że przy samej ścianie budowli powietrze w dalszym ciągu . było niemal zupełnie spokojne.

W ciągu dnia zalegające nisko chmury porozrywały się, pozwalając dostrzec fragmenty leżącego pod nimi terenu. Siedząc na swoim. sześcianie niczym na grzędzie kontemplowałem wizję upadku. Od poziomu gruntu dzieliły mnie nieco ponad dwa kilometry - niezły lot, tyle tylko, że przy takiej pogodzie walnąłbym po drodze w jeden z tarasów rekreacyjnych. Podczas mocnego południowego wiatru można było liczyć na to, że spadnie się na bagna.

Teraz czekała mnie trudna przeprawa. Musiałem wspinać się bez asekuracji:

Żadnych lin, sieci, możliwości błędu. Gdybym przegrał, mógłbym jeszcze zaprzętać sobie głowę tylko tym, czy krzyżeć podczas lotu, czy też zachować do końca dumne milczenie.

Wyjce nie daliby mi czasu na zastanawianie się nad subtelnościami.

W większości nie byli rewelacyjnymi wspinaczami, ale paru miało nie najgorsze pojęcie o technice. Najpierw musiałem oddzielić dobrych od złych, a potem okazać się lepszym od tych dobrych.

Wstałem i dając dwumetrowe susy z jednego sześcianu na drugi zacząłem biec w poprzek ściany. Usłyszałem krzyki, ale nie spojrzałem w górę. Nie miałem odwagi. Umysł wyłączył się, by nie przeszkadzać ciału w działaniu. Oczy rejestrowały, ciało działało, mózg odpoczywał.

Zbliżając się do rogu nieco zwolniłem, a potem zatrzymałem się raptownie, jedynie z najwyższym trudem odzyskując zachwianą równowagę. Było już ich nade mną znacznie mniej. Może szczęściu udało dotrzymać mi kroku. Reszta' usiłowała nadążyć pomagając sobie linami.

Błyskawicznie wspiałem się dwa piętra w górę, wykorzystując wąski komin między nie używaną wieżą destylacyjną i obudową agregatu chłodniczego, po czym przedostałem się na drugą ścianę i ponownie puściłem się pędem przed siebie.

Kiedy znowu się zatrzymałem, by zyskać kolejne dwa piętra, było ich

już tylko dwóch. Pozostała czwórka zrezygnowali z wyścigu w poziomie i wspinała się teraz w górę.

Dobiegłem niemal do północno-zachodniego rogu i skierowałem się do góry.

Pierwszy postanowił, dobry Jezu, wykopać mnie po prostu z tego życia.

Wyciągnął linę, umocował do czegoś pod ręką i zaczął zsuwać się wielkimi susami. Chciał wałać we mnie z całym rozmachem, na pewno nawet. Nie zwracałem na niego uwagi do ostatniej chwili, a potem padłem płasko na sześcian, on zaś rąbnął stopami w ścianę nad moją głową.

Odbił się, a ja skoczyłem za nim.

Zbladł jak trup. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie właśnie to! Przypiąłem się do niego jak małpa, opasując go w pasie nogami; jedną ręką chwyciłem za jego linę, a drugą rąbnąłem go z całej siły w twarz. Poczułem, jak trzeszczy mu szczęka, i w tej samej chwili jakby uszło z niego powietrze. Zwolnił uchwyt pod karabinkiem i zaczął zsuwać się w dół. Zacisnąłem mocniej nogi, rękami chwytając się liny z całej siły. Ramiona zatrzeszczały mi pod podwójnym obciążeniem, ale udało mi się go zatrzymać. W tej samej chwili wróciliśmy z powrotem do ściany i wylądowaliśmy na sześcianie, on pode mną, a ja okrakiem na nim.

Jego koleś opuszczał się znacznie wolniej. Był ubezpieczony, ale widział, co przytrafiło się jego kumpłowi, i nie miał zamiaru próbować tego samego sposobu. Dzieliły go ode mnie jeszcze dwa piętra, więc przywiązałem nieprzytomnego Wyjca, żeby nie zrobił sobie przypadkiem krzywdy, i zacząłem znowu biec.

Usłyszałem krzyk, ale nie ruch. Kiedy się obejrzałem, był pochylony nad moim znajomym ze złamaną szczęką. Dotarłem do wylotu klimatyzacji i skierowałem się ku niebu najszybciej, jak tylko potrafiłem.

Znajdowałem się w połowie terytorium Wyjców. Po prawej miałem tę grupę, która postanowiła najpierw nabrać nieco wysokości; skręcali właśnie w moją stronę, chcąc przeciąć mi drogę. Wspinałem się, oddychając szybko, ale nie rozpaczliwie. W tym tempie mogłem poruszać się jeszcze przez co najmniej pół godziny. Wiedziałem o tym, że jest oprócz mnie tylko jeden człowiek, który mógłby wytrzymać to tempo, i byłem bardzo ciekaw, czy nie ma go przypadkiem gdzieś nade mną.

Spojrzałem w górę.

Był.

Ale nie na ścianie.

Nie miał liny.

I spadał na mnie.

Spróbowałem rzucić się w bok, w jedynym kierunku, w którym miałem jakąś możliwość manewru, ale udało mi się tylko częściowo. Trafił mnie stopą w głowę i na moment zamroczył; spadłem trzy metry w dół, na inny sześcian, zachwiałem się, odbiłem od ściany i ześlizgnąłem. Upadek był nagły, ściskający bebechy i przerażający. Chwyciłem krawędź sześcianu czubkami palców, naciągając bark i rozbijając o coś łokieć. Pękała mi głowa, niebo zataczało zwariowane koła, a ja doskonale wiedziałem; że pode mną jest co najmniej kilometrowa pustka.

Kiedy tak wisiałem, Daktyl jakoś się zatrzymał kilka pięter pode mną i dopiero wtedy dostrzegłem metaliczny błysk cienkiego drutu ciągnącego się w dół ściany budynku.

Wciągnąłem się wreszcie na sześcian i zacząłem szybko trawersować

ścianę, starając się jak najszybciej oddalić od tego drutu. Usiłowałem nie zwracać uwagi na nadwierzony bark, rozbitą głowę, wrzeszczący w żołądka strach i zimny, lepki pot.

Za mną rozległ się dziwny warkot; kątem oka zarejestrowałem jakiś ruch. Odwróciłem się i dostrzegłem mknący w górę po ścianie wieży szary cień. Uniosłem głowę.

Czekał na granicy terytorium Wyjców i przyglądał mi się. Blżej znajdowali się ci trzej idioci usiłujący odciąć mi drogę ucieczki. Ocenilem dzielącą mnie od nich odległość, zastanowiłem się przez moment, po czym włączyłem przyspieszenie. Oni nie byli już w stanie tego zrobić. Wyprzedziłem ich, zanim jeszcze dotarli do wylotu klimatyzacji. Przez kilka pięt próbowali jeszcze dotrzymać mi kroku, a jeden nawet rzucił we mnie hakiem, który jednak nie doleciał do celu.

Potem został już tylko Daktyl.

Kiedy dotarłem do 530, znajdował się bezpośrednio nade mną.

Zatrzymałem się na moment i spojrzałem w dół. Wyjce zrezygnowali z pościgu i przyglądali się nam. Nawet najwięksi maruderzy dotarli już na tę ścianę i również usadowili się na sześcianach, czekając na rozwój wypadków. Ponownie skierowałem wzrok w górę. Daktyl przesunął się z pięć metrów w bok i usiadł na jakiejś półce. Wspiąłem się na tę samą wysokość i również usiadłem.

Daktyl pojawił się pewnego dnia w samym środku terytorium Wyjców. Trzech z nich poleciało w dół, zanim reszta postanowiła; że lepiej chyba będzie po prostu go ignorować, bo może się to skończyć wytepieniem Wyjców. Daktyl jest samotnikiem posługującym się wszystkimi technikami - chodzi bez zabezpieczenia, na linie, a także używa różnych zmyślnych mechanizmów.

Było w nim coś takiego, że niemal nie dawało się go dostrzec. Tak jakby wtapiał się w ścianę. Jego kombinezon, buty, a nawet uprząż były równie szare jak sześcian, na którym siedział. Uprząż obwiesił najróżniejszymi pudełeczkami i torebkami, dzięki czemu wyglądał dosyć pękato i przypominał trochę żółwia o długich kończynach. Był młodszy, niż myślałem, ale też nigdy wcześniej nie widziałem go z tak bliska; miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Jego oczy, chłodne i spokojne, patrzyły prosto na mnie. Nie był w ogóle spocony.

- Dlaczego? - zapytałem.

Wzruszył ramionami.

- Bądź sobą, stań się częścią otoczenia. Kto to powiedział?

- Wielu tak mówiło. Ja też.

Skinął głową.

- No więc ja właśnie to robię. Staję się częścią środowiska. A ty powinieneś już wiedzieć o nim przynajmniej jedno, pajacu...

- Co takiego? - zapytałem nieufnie.

- Że środowisko jest wrogiem.

Spojrzałem przed siebie. Daleko w oddali, na zatoce Galveston, widać było białe żagle.

- Czy coś ci kiedyś zrobiłem?

- Niepotrzebnie bierzesz to do siebie - uśmiechnął się. To nie ma nic wspólnego z tobą. Pomyśl o mnie jako o pozasomatycznym czynniku ewolucyjnym. Musisz się rozwijać. Musisz się dostosowywać. Mano a Mano -

takie tam gównno.

Zostawiłem go na moment. W dole Wyjce zbierali się w coraz liczniejszą gromadę zawzięcie o czymś dyskutując, pomagając sobie przy tym gwałtownym wymachiwaniem rękami.

- Taak... - odezwałem się po jakiejś chwili. - Byłeś kiedyś w centrum Houston?

Zamrugał ze zdziwieniem, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Wreszcie, jakby wbrew własnej woli, wykrztusił:

- Na ziemi? Nie. Oni tam zjadają ludzi.

Wzruszyłem ramionami.

- Czasem tak, a czasem nie. Ostatnio, jak byłem w Parku Spokoju, jedli ogony aligatorów w syjamskim sosie orzechowym. Chyba że akurat aligatory wzięły się za nich.

- Och.

- Byłeś w ogóle kiedyś na dole?

- Urodziłem się w środku.

- Cóż, w każdym razie, nie zaprzataj sobie tym głowy - powiedziałem i wstałem na nogi.

Zmarszczył brwi.

- Co to ma znaczyć?

- Nieważne, gdzie się urodziłeś - powiedziałem z uśmiechem. - Ważne jest tylko to, gdzie umrzesz.

Ruszyłem w górę.

Pierwsze pół godziny minęło zupełnie spokojnie. Poczekał jakąś minutę, nim zaczął się wspinać w ślad za mną, i przez następnych siedemdziesiąt pięter mogło się wydawać, że łączy nas niewidzialna, piętnastometrowa lina. Około 600 zmniejszył odległość do dziesięciu metrów. Zwiększyłem nieco tempo, ale przez kolejnych dziesięć pięter dystans pozostał ten sam.

Oddech miałem już znacznie cięższy, a mięśnie ud i ramion paliły mnie żywym ogniem. Ubranie miałem dokładnie przesiąknięte potem, ale moje dłonie były suche. Złapałem odpowiedni rytm.

Daktyl również wspinał się bardzo szybko, lecz jego ruchy były gwałtowniejsze, znacznie mniej ekonomiczne. Odległość cały czas wynosiła dziesięć metrów, ale wiedziałem, że to wszystko, na co go stać.

Zdwoiłem szybkość.

Wszechświat składał się już tylko ze ścian, kolejnego uchwytu, kolejnego oddechu. Nie było już żadnych brzoskwiń, żadnych urodzin, kwiatów, nie istniał żaden Daktyl. Nie było już nawet żadnej myśli.

Ale b y ł ból.

Moje uda przestały palić, a zaczęły krzyczeć. Przeniosłem część obciążenia na ręce i wkrótce również one dołączyły do chóru. Mając przed oczami już tylko czerwonawą mgłę przebyłem jeszcze piętnaście pięter, po czym zwałem się bez sił na jeden z sześcianów.

Gdy próbowałem złapać oddech, świat zataczał wokół mnie dzikie koła.

Czułem w udach zaczątki skurczów i starałem się dostarczyć komórkom we włóknach mięśniowych tyle tlenu, ile tylko mogłem. Kiedy wreszcie świat uspokoił się, spojrzałem w dół, w poszukiwaniu Daktyla.

Nie dostrzegłem go. Czyżby zrezygnował?

Nie miałem pojęcia i bardzo mnie to niepokoiło.

Pięć pięter nade mną znajdowała się bariera - czarny, prostopadły do ścian występ dziesięciometrowej szerokości, doskonale gładki, wykonany z metalu, o spawach niedostrzegalnych gołym okiem. Nie wiedziałem, co znajduje się nad nim. Krążyły plotki o automatycznych laserach, uzbrojonych strażnikach i sterowanych komputerowo urządzeniach kontrolnych. Będę miał czas się tym martwić, kiedy już tam się znajdę. Brakowało mi do bariery jeszcze dwóch pięter, kiedy zza północno-wschodniego rogu wyłonił się Daktyl.

Znajdował się wyżej ode mnie.

To było niemożliwe. Niewiele brakowało, żebym w tym momencie zrezygnował, ale coś kazało mi iść naprzód. Starając się o niczym nie myśleć ruszyłem biegiem w kierunku ściany zachodniej, skacząc niczym wiewiórka z jednego sześcianu na drugi, chociaż mięśnie nie, chciały już podporządkować się mojej, woli. Dwukrotnie o mało nie chybiłem: raz, kiedy zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób udało mu się mnie wyprzedzić, a drugi, kiedy zawiódł mnie mięsień czwórłowy uda.

Dysząc ciężko zatrzymałem się na rogu i obejrzałem za siebie. Daktyl szedł za mną, swobodnie, niespiesznie, niemal elegancko. Schowałem się szybko za róg i ruszyłem w górę, by po chwili przycupnąć na sześcianie, głową dotykając czarnej spodniej powierzchni bariery. Wyrzałem ostrożnie: Daktyl przystanął na moment, najwyraźniej odpoczywając. Zdjąłem plecak i wydobyłem z niego trzydziestometrowy odcinek liny o dwutonowej wytrzymałości, półmetrowy kawałek łącznika obliczonego na dziesięć kilogramów oraz hak, a następnie umocowałem hak do liny za pomocą tego łącznika.

Jeszcze raz wychyliłem się za róg. Daktyl zbliżał się, ale powoli i ostrożnie. Dzieliło go ode mnie jeszcze około dwustu metrów w poziomie. Opuściłem się dwa metry w dół i wyszedłem z powrotem na północną ścianę. Daktyl zatrzymał się na mój widok, ale ja nie zwracałem na niego żadnej uwagi, zajmując się wyłącznie liną z przymocowanym do niej hakiem; spuściłem jej jakieś piętnaście metrów, po czym zacząłem nią kołysać. Nie było to wcale łatwe. Nie miałem czasu, żeby się jakoś zabezpieczyć, a chociaż hak ważył nie więcej niż trzy kilogramy, to przy coraz większych wychyleniach mógł oderwać mnie od ściany, tym bardziej, że w tym akurat miejscu wiatr zdawał się przybierać nieco na sile. Wreszcie rozbijałem go na tyle, że postanowiłem spróbować. Kiedy opadał w dół, pociągnąłem linę mocno do siebie i hak nabierając szybkości poleciał w górę, ponad krawędź bariery. Nie miałem pojęcia, jakiej jest ona grubości ani czy po drugiej stronie znajdzie się coś, na czym hak mógłby-się zatrzymać. Wstrzymałem oddech.

Usłyszałem przytłumiony odgłos uderzenia metalu o metal i lina zwiotczała mi w rękach. Przez moment myślałem, że hak spada, i mocno się przestraszyłem, bo nie dość, że i tak już z trudem łapałem równowagę, to na dodatek nie wiedziałem, jak daleko ode mnie jest Daktyl. W tej samej chwili hak zaczepił o coś i lina przestała się zsuwać.

Zaryzykowałem szybkie spojrzenie do tyłu: Daktyl miał jeszcze jakieś sto metrów. Cofnąłem się na zachodnią ścianę, ostrożnie napinając linę. Szczęśliwie udało mi się zaczepić ją w taki sposób, że Daktyl będzie mógł ją zobaczyć dopiero wtedy, kiedy znajdzie się na tej samej ścianie, co ja.

Dwie minuty zajęło mi przywiązanie liny do sześcianu, a następnie zabezpieczenie jej na dwóch dodatkowych. Kiedy się z tym uporałem, pognałem na oślep trzy piętra w dół i schowałem się za wylotem powietrza. W tej samej chwili zza rogu wyłonił się Daktyl. Zobaczył linę i szarpnął za nią mocno, lecz dziesięciokilogramowy łącznik wytrzymał. Zapiął na niej karabinek i skoczył niczym latająca wiewiórka; jeszcze zanim zdołał chwycić linę dłońmi, zawisł na niej częścią swego ciężaru. Łącznik pękł. Daktyl nabrał gwałtownie powietrza, ale nie krzyknął ani nie zaklął. Zamiast tego próbował obrócić się wlocie tak, żeby uderzyć nogami w pędzącą mu na spotkanie ścianę.

Udało mu się to tylko połowicznie. Rąbnął w krawędź sześcianu, jedną nogą częściowo amortyzując siłę uderzenia. Usłyszałem, jak pod wpływem wstrząsu powietrze opuszcza jego płuca, i w tej samej chwili zaczął się ześlizgiwać po linie w kierunku jej wolnego końca, niezdarnie próbując czegoś się złapać, ale uzyskując tylko pewne spowolnienie upadku.

Uderzyłem niczym atakujący wąż.

Znajdowałem się już poniżej miejsca, w którym rąbnął w ścianę budynku, więc tylko dałem trzy potężne susy, by dostać się dokładnie pod niego. Jego karabinek zsunął się z liny, Daktyl runął w dół, a w ułamek sekundy później moja dłoń chwyciła za jego uprząż, ja zaś przywarłem całym ciałem do mojego sześcianu.

Już po raz drugi tego dnia o mało nie wywichnąłem barku. Niewiele brakowało, żeby masa jego bezwładnie spadającego ciała strąciła mnie ze ściany. Koszula trzasnęła mi na plecach, jego głowa z kolei uderzyła w krawędź sześcianu i oklapł mi w rękę niczym bezwładny worek ziemi, tyle tylko, że ciężki jak cały świat.

Minęło sporo czasu, zanim udało mi się wreszcie go wciągnąć na sześcian i zabezpieczyć przed zsunięciem.

Jeszcze dłużej trwało zarzucenie drugiego haka w to samo miejsce, gdzie wylądował pierwszy. Zdaje się, że poprzednio miałem sporo szczęścia, bo tym razem sztuka ta udała mi się dopiero za szóstym razem.

Założyłem bloczek i pomalutku wspiąłem się na górę.

Nad barierą ściany były wyraźnie węższe; miały nie więcej niż 150 metrów szerokości. Znajdowałem się na krawędzi tarasu biegnącego dookoła budynku. W przeciwieństwie do znanych mi z niższych kondygnacji balkonów rekreacyjnych, ten był zupełnie otwarty, ogrodzony dla bezpieczeństwa jedynie sięgającą do piersi poręczą. Na patio wśród poustawianych malowniczo donic z roślinami stały liczne leżaki.

Na zachodnim tarasie, osłoniętym przed podmuchami północno-wschodniego wiatru, dostrzegłem grupę elegancko ubranych kobiet i mężczyzn. Wśród nich przesuwali się służący z tacami. Popołudniowy cocktail bogatych, wpływowych i niedostępnych.

Przeszedłem szybko przez barierę i przykucnąwszy za jedną z donic zwinąłem linę i złożyłem starannie haki.

Ta część tarasu, po której hulał porywisty wiatr, wydawała się zupełnie opuszczona. Rozglądałem się w poszukiwaniu kamer, reflektorów podczerwieni i urządzeń alarmowych; ale żadnych nie dostrzegłem.

Widocznie nie były po prostu potrzebne.

Szczyt wieżowca wznosił się nade mną na wysokość jakichś pięciuset metrów, ale tutaj, w przeciwieństwie do tego, co widziałem poniżej

bariery, tu i ówdzie między sześcianami znajdowały się indywidualne balkony. Na niektórych mogłem dostrzec rośliny, a nawet drzewa. Miałem do przebycia około stu pięter, czyli ponad czterysta metrów. Drżały mi ręce i nogi, a w kopniętym przez Daktyla barku czułem ostry ból, który uniemożliwiał mi, podniesienie ręki wyżej niż do wysokości ramienia.

Byłem bliski tego, żeby zrezygnować. Zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby zdjąć plecak, wypłatać się z uprząży i wyciągnąć na leżaku, a może nawet poczęstować się drinkiem z jednej z tac roznoszonych wśród gości.

Potem pojawił się strażnik i odprowadził mnie na sam dół. Ale sto pięter dam chyba radę przejść nawet stojąc na głowie, prawda? Prawda. Słońce zaszło już, kiedy dotarłem do 700, ale światła budynku pomagały mi tam, gdzie nie wystarczał sam dotyk. Balkony były bardzo wymyślne, wyposażone w ruchome wiatrochrony i stateczniki ukierunkowujące przepływ prądów powietrznych. Rozglądałem się w poszukiwaniu takiego, na którym rosłyby drzewa owocowe. Może nie musiałbym wtedy wspinać się aż na 752. Jednak musiałem.

Na 752 piętrze znajdowały się cztery balkony, po jednym z każdej strony. Były to największe prywatne balkony, jakie widziałem w całym budynku. Tylko na jednym z nich rosło coś, co przypominało ogród. Przez pięć minut przyglądałem się dokładnie każdej donicy z kwiatami, warzywami i krzakami; przez szklane drzwi prowadzące do wnętrza nie przedostawał się ani jeden promyk światła, ja zaś nie mogłem dostrzec żadnych brzoskwiń.

Westchnąłem i przelazłem przez barierkę, by przypatrzeć się z bliska. Z trudem udało mi się wyprostować. Kończyny miałem jak z ołowiu, oddychałem z wysiłkiem, a w uszach słyszałem łomotanie pulsu. Ciągle jednak żadnych brzoskwiń.

Jedynie owoce, jakie znalazłem, były to zielone pomarańcze rosnące na pobliskim drzewku. Moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Znajdowałem się ponad dwa kilometry nad poziomem morza i było już godzinę po zachodzie słońca. Przesiąknięte potem ubranie z każdą chwilą robiło się coraz zimniejsze. Coś nie dawało mi spokoju, ale spowodowane zmęczeniem otępienie nie dawało mi się porządnie zastanowić. Dopiero po pewnym czasie uświadomiłem sobie, o co chodzi.

Nie sprawdziłem, czy jest tu jakaś instalacja alarmowa. Była. W ścianie nad balustradą, przez którą przelazłem, rząd małych promienników podczerwieni.

Czas się pożegnać. Możliwe, że już nawet po czasie. Skierowałem się w stronę barierki i wtedy usłyszałem, jak za mną otwierają się drzwi. Zdażyłem przelożyć nogę na drugą stronę, kiedy poczułem, jakby coś przykleiło mi się do boku i nagle wszechświat eksplodował.

Wszystkie mięśnie po prawej stronie mojego ciała naprężyły się w spazmatycznym skurczu, a ja z hukiem zwałem się na posadzkę balkonu, uderzając w nią biodrem i ramieniem. Nie uderzyłem głową tylko dzięki plecakowi, który cały czas miałem na plecach.

Taser, przemknęło mi przez myśl.

Kiedy odzyskałem zdolność widzenia, zobaczyłem mężczyznę ubranego w biały kaftan, stojącego w odległości jakichś trzech metrów. Był starszy

ode mnie o ładnych kilka dziesiątków lat. Nie miał prawie włosów, a jego twarz zryta była bruzdami nie mającymi nic wspólnego z uśmiechem. Mimowolnie nasunęło mi się porównanie z Szaloną Molly, ale to nie było dobre porównanie. Szalona Mory mogła być równie stara, jak ten gość, ale z całą pewnością nie wyglądała tak w s t r ę t n i e.

W prawej dłoni trzymał lekko laser, w lewej zaś szklaneczkę z drinkiem, w którym cichutko grzechotały kostki lodu.

- Co tu robisz, ty obrzydliwa, mała mucho? - zapytał jadowitym tonem, nie zmieniając jednak w ogóle wyrazu twarzy.

- Nic.

Miało to być powiedziane zdecydowanie, głośno i śmiało, a wyszło coś w rodzaju skrzeknięcia żaby.

Strzelił po raz drugi. Postrzegłem mignięcie drutu, spróbowałem się uchylić, ale nie dałem rady.

Przetoczyłem się przez plecy wstrząsany konwulsjami; nigdy nie przypuszczałem, że moje mięśnie będą zdolne do czegoś takiego. Tym razem rąbnąłem głową w podłogę. Potem drgawki ustały.

Byłem kompletnie zdezorientowany; wszystko dokoła mnie poruszało się po nieskoordynowanych orbitach. Moje nogi zdecydowały się zamienić w jeden wielki, bolesny skurcz. Złapałem głośno powietrze.

Sprawiło mu to chyba przyjemność. _

- Kto cię przysłał? I tak się w końcu dowiem. Nigdzie mi się nie śpieszy.

- Nikt mnie nie przysłał - odpowiedziałem szybko. Chciałem zdobyć trochę brzoskwiń.

Strzelił po raz trzeci.

Słowo dając, zaczynało to mi się coraz mniej podobać. Moje mięśnie i bez tych elektrowstrząsów wytworzyły już dosyć kwasu mlekowego. Kiedy doszedłem jako tako do siebie, miałem kolejnego guza na głowie i jeszcze większe skurcze.

Pociągnął ze swojej szklaneczki.

- Musisz wymyśleć coś lepszego - powiedział. - Nikt nie ryzykowałby takiej wspinaczki dla jakichś brzoskwiń. Poza tym brzoskwinie będą dopiero za pięć miesięcy. - Uniósł taser. - Kto cię przysłał?

Nie byłem już w stanie wykrztusić choćby słowa. Na szczęście chyba to zauważył, bo zaczekał kilka sekund, po czym powtórzył pytanie:

- Kto cię przysłał?

- Wypchaj się - poradziłem mu słabym głosem.

- Głupi mały człowieczek. - Uniósł taser, ale w tej samej chwili coś uderzyło go w rękę, wytrącając mu broń z dłoni. Skoczył, żeby ją podnieść, lecz rąbnęła weń rozmazana plama szarości. Rozległ się łoskot zderzenia i łysy mężczyzna padł na wznak.

Napastnik chwycił laser, zamachnął się błyskawicznie i wyrzucił go za balustradę.

To był Daktyl.

Kiedy człowiek w kaftanie zobaczył jego twarz, rzucił tylko jedno słowo:

- Ty!?

Zaczął gramolić się na nogi, ale Daktyl zrobił krok w jego stronę i kopnął go w twarz. Mężczyzna padł powtórnie, przypominając w swoim stroju biały, bezkształtny worek ze sterczącymi na zewnątrz kończynami.

Daktyl stał przez moment bez ruchu, spoglądając na niego z góry, po czym odwrócił się i podszedł do mnie.

- To był paskudny kawał z tą liną.

Roześmiałem się słabo.

- Gdybyś nie był taki leniwy; zarzuciłbyś własną linę. Przyglądałem mu się z niepokojem, ale i tak moje ciało nie było jeszcze w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Czy mnie takie kopnie w twarz? Nieważne, i tak musiałem się czegoś dowiedzieć.

- Jak ci się udało mnie wyprzedzić, tam w dole, przed barierą? Byłeś przecież wykończony, widziałem.

Wzruszył ramionami.

- Tak, masz rację. Jestem leniwy. - Zdjął z pleców jakiś przyrząd.

Wyglądał jak pistolet z dwoma spustami. Przygotowałem się do skoku.

Skierował go w górę i nacisnął jeden ze spustów. Usłyszałem stłumiony huk i coś wbiło się w sufit. Nacisnął drugi spust i nagle rozległ się głośny terkot, a Daktyl wraz z niezwykłym urządzeniem pojechał nagle w górę. Przyjrzałem się dokładnie i zobaczyłem drut.

- Kanciarz - stęknąłem.

Roześmiał się i opuścił z powrotem na podłogę.

- Co tu robisz, u diabła? - zapytał.

Powiedziałem mu.

- Nabierasz mnie.

- Nie.

Roześmiał się znowu i wszedł przez szklane drzwi do wnętrza.

Zebrałem w sobie wszystkie siły i spróbowałem wstać. Udało się. Kiedy chwiałem się, oparty o balustradę, Daktyl wrócił niosąc dwulitrowy plastikowy pojemnik. Wręczył mi go. Plastik był przeraźliwie zimny.

- Co to?

- Zeszłoroczne brzoskwinie. Z zamrażarki. Zawsze trzyma je aż do chwili, kiedy są nowe.

- Skąd o tym wiedziałeś, u licha?

Wzruszył ramionami, wyjął mi pojemnik z dłoni i wsadził do mojego plecaka.

- Na twoim miejscu wyniosłbym się stąd, zanim przyjdzie do siebie.

Nie tylko dlatego, że ma tutaj sporo rzeczy dużo gorszych niż laser, ale dlatego, że ochrona robi wszystko, co im każe.

Jednym susem przesadził poręcz i zawisł na ramionach. Nim zniknął w ciemnościach, dodał coś, co dotarło do mnie wraz z gwałtowniejszym podmuchem wiatru.

- To mój ojciec.

Ruszyłem w dół niedługo potem. Pod względem fizycznym byłem kompletnym wrakiem. W wyniku działania lasera moje mięśnie były wyczerpane bardziej niż po największym nawet wysiłku. Nie znajdowałem się chyba w najlepszej formie do wyjścia na ścianę, ale Daktyl miał rację. W moim stanie nie chciałbym przed nikim uciekać, a już najmniej przed profesjonalnymi ochroniarzami.

Ochrona to nic przyjemnego. Używają helikopterów i specjalnych kolejek poruszających się na zewnątrz budynku. Strzelają gumowymi kulami i z armatek wodnych. Nie, nie dlatego, że są tacy humanitarni; ten, kogo strąca, i tak zginie, a chodzi im tylko o to, żeby nie uszkodzić samego

wieżowca.

Opuszczałem się więc stopniowo, czując się jak starzec schodzący wolno po schodach. Mimo wszystko zejście było dużo łatwiejsze od wejścia i dzięki sprawnej pracy z linami już po niespełna dziesięciu minutach znalazłem się na patio, na wierzchniej stronie bariery.

Zbliżała się północ, ale zrobiło się jaśniej, ponieważ wzeszedł księżyc znajdujący się w pierwszej kwadrze, na patio zaś przebywało znacznie więcej osób niż o zachodzie słońca. Kilka z nich dostrzegło mnie, kiedy zwiјаłem linę po pokonaniu ostatniego odcinka. Zignorowałem ich, starając się skoncentrować wyłącznie na tym, co robię. Potem, idąc w kierunku krawędzi tarasu, wziąłem sobie z bufetu jedną kanapkę.

Coraz więcej ludzi patrzyło w moją stronę i rozmawiało, najprawdopodobniej na mój temat. Jakaś starsza kobieta stojąca przy bufecie obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem i powiedziała:

- Spróbuj tych wontonów. Zdaje się, że są z prawdziwą szynką.

- Lepiej nie - uśmiechnąłem się do niej. - Szynka może być zdradliwa.

Nigdy tak naprawdę nie wiadomo, skąd pochodzi. Jej dłoń zatrzymała się w połowie drogi do ust i kobieta spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, ale potem, niemal wyzywająco ugryzła spory kęs i zaczęła go żuć.

- Najważniejsze, żeby była dobrze ugotowana - powiedziała.

Ubrany na biało steward opuścił swoje miejsce u końcu stołu i skierował się do wiszącego przy drzwiach telefonu.

Zabrałem kanapkę ze sobą i ruszyłem do krawędzi tarasu, gdzie wyjąłem linę z plecaka. Czuję, jak drżą mi nogi. Kobieta wkrótce znalazła się znów koło mnie.

- Masz - powiedziała, wręczając mi wysoką szklanę, w której coś delikatnie grzechotało. - Mrożona herbata. Zamrugąłem ze zdziwieniem.

- Dziękuję. To bardzo miłe z pani strony. Wzruszyła ramionami.

- Wygląda, że dobrze ci to robi. Chyba nie masz zamiaru tutaj zemdleć? Byłoby to niezwykle podniecające, ale na twoim miejscu starałbym się tego uniknąć. Obawiam się, że ten obrzydliwy typ zawiadomił ochronę.

- Naprawdę tak źle wyglądam?

- Kochanie, wyglądasz jak odgrzana śmierć.

Skończyłem przygotowywać linę i wpiąłem ją w karabinek.

- Chyba ma pani rację.

Dokończyłem prędko kanapkę i popiłem ją kilkoma łykami herbaty. Z pewnością nie był to pieczony gołąbek Szalonej Molly, ale dało się zjeść.

- Dostaniesz niestrawności - ostrzegła mnie kobieta. Uśmiechnąłem się, przetykając ostatni, wielki kęs. Tłumek przyglądających mi się ludzi powiększał się coraz bardziej. Przy drzwiach kątem oka dostrzegłem jakieś poruszenie. Nie zwlekając przeszedłem na drugą stronę bariery.

- Musimy to kiedyś powtórzyć - powiedziałem. - Następnym razem trochę potańczymy.

Skoczyłem w ciemność, starając się rozbujać tak, żeby od razu dotrzeć do ściany budynku. Nie udało mi się, więc popuściłem liny i zacząłem machać nogami. Za drugim razem zabrakło mi nie więcej niż metr. Czuję się już trochę lepiej, ale nadal byłem bardzo osłabiony. Spojrzałem w górę i zobaczyłem wychylone poza krawędź bariery głowy. Coś błysnęło w świetle księżyca.

Nóż?

Za trzecim wahnięciem dotarłem do ściany i opadłem na górną powierzchnię sześcianu. Miałem kłopoty ze złapaniem równowagi, ale wreszcie udało mi się przechylić do przodu i, już bezpieczny, przytuliłem się do ściany. Odwróciłem się, żeby zwolnić linę, ale nie musiałem tego robić.

Spadła, ale w dwóch kawałkach, nie w jednym.

Sukinsyny. Z trudem powstrzymałem się, żeby tego nie krzyknąć. Lepiej by myśleli, że spadłem. Poza tym chyba nawet nie dałbym rady. Byłem potwornie zmęczony i obawiam się, że nie zdołałbym wykrzesać z siebie żadnej energiczniejszej reakcji.

Następne sto pięter przebyłem niczym pajak cierpiący na reumatyzm - długie, powolne zejścia i jeszcze dłuższe odpoczynki. Podczas jednego z nich zasnąłem i omal nie spadłem, więc potem już starannie zabezpieczałem się liną. Za którymś razem musiałem spać dłużej niż godzinę, kiedy bowiem się obudziłem, miałem zupełnie sztywne mięśnie. Dopiero po pół godzinie znowu mogłem poruszać się w miarę płynnie.

Wreszcie dotarłem do gniazda Szalonej Molly. Wyjąłem z plecaka przeznaczone dla niej towary oraz brzoskwinie i ułożyłem je starannie przy wejściu. Słyszałem jej chrapanie. Potem jak zwykle zostawiłem pod gniazdem swoje rzeczy i ruszyłem w dół, do Fran, żeby zrobić jej śniadanie. Ale do niej nie dotarłem.

Dopadli mnie w porannej szarówce.

To jest dobre miejsce na zdanie w rodzaju: "Rzucili się na mnie niczym wilki na owcę" albo: "Otoczyli mnie jak stado piranii", ale nic z tego. Byłem zbyt zmęczony. Wiem tylko, że Wyjce po prostu mnie dopadli i już. Mnie, który tego jednego dnia doświadczyłem już bicia, porażenia prądem, niestrawności, któremu przecięto linę i zmęczono każde włókienko mięśni, jeżeli tak można powiedzieć. Obserwowałem ich z tępym zdziwieniem, które nie było tylko pozą, lecz niemożliwą do opanowania reakcją na tę ostatnią już chyba kroplę w moim dzisiejszym dzbanie nieszczęść.

Upřednio czułem ból i starałem się nie zwracać na niego uwagi.

Zostałem wyzwany i czułem potrzebę odpowiedzi na wyzwanie. Byłem ciekawy i chciałem tę ciekawość zaspokoić. Bałem się i starałem się przezwyciężyć strach. Jednak nigdy jeszcze nie czułem tego, co teraz.

Byłem wściekły i chciałem, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Pierwsi spadli obok balkonu. Jestem tego pewien. Rzucili się na mnie z wielką szybkością bez żadnego zabezpieczenia, ja zaś wykorzystalem ten rozpęd do tego, by ich strącić w dół. Trzeci uważał się pewnie za bardzo przebiegłego, by wylądował mi na plecach i przywarł do mnie niczym mała. Przestałem troszczyć się o cokolwiek. Rzuciłem się w bok, celując plecami w kant odległego o dwa metry sześcianu. Próbował się uwolnić, ale nie zdążył. Byłem mu za to wdzięczny, bo gdyby go tam nie było, z całą pewnością złamałbym sobie kark.

On chyba trafił na balkon.

Potem zacząłem biec, ale niezbyt szybko. Byłem tak wściekły, że po prostu chciałem, 'aby mnie dogonili, bym mógł przy użyciu pięści i nóg sprawdzić trwałość ich głupich, okrutnych łbów. Przez następne dziesięć minut trwał pojedynek biegowy. Jednak nim zabrakło Wyjców, mnie zabrakło

sił.

Zatrzymałem się na małej platformie utworzonej przez leżącą poziomo wiązkę przewodów wentylacyjnych, kiedy w sam środek moich prześladowców wpadł zniecała Daktyl, posyłając trzech z nich w wypełnioną ich wrzaskiem przepaść, dwóch innych zaś zmuszając do pośpiesznego odwrotu.

Akurat wtedy minęła mi już wściekłość, natomiast powróciło zmęczenie.

Również Daktyl sprawiał wrażenie nieco zmęczonego.

- Nawet na chwilę nie mogę cię stracić z oka, co? O co tu chodzi?

Znudzili ci się gówniarze?

- Tak... - roześmiałem się słabo. - Teraz ja jestem twoim dłużnikiem.

- To prawda, dupku. I nie pozwolę ci o tym zapomnieć. Wychyliłem się trochę i rozejrzałem dookoła. Nie poprawiło to bynajmniej mojego samopoczucia.

- Daktyl...

- Co?

- Lepiej się trochę rozejrzyj....

Podszedł swobodnie do krawędzi platformy, spojrzał w dół, na boki, do góry i cofnął się

- Wygląda na to, że będziesz miał okazję od razu mi się zrewanżować - powiedział.

Otoczali nas Wyjce, wszyscy, jacy jeszcze pozostali przy życiu. W rozjaśniającym się z każdą chwilą mroku piełi się ku nam ze wszystkich stron, niczym spieszący na pogrzeb kanibale.

Według mojej oceny mieliśmy raczej niewielkie szanse.

- Daktyl?

- No?

- Czy ten twój pistolet mógłby nas stąd jakoś wyciągnąć?

Potrząsnął głową.

- Nie mam w co strzelić. Źle stoimy.

- Aha.

- Mam spadochron - powiedział, przechyliwszy nieco głowę na bok.

- Co?

Pokazał mi szary pakunek przymocowany z tyłu uprząży. - Używałeś go kiedyś?

- Czy wyglądam na wariata? - odpowiedział pytaniem. Wyjąłem moją najmocniejszą, dziewięciometrową linę i połączyłem nią nasze uprząże.

Wyjce ruszyli.

- Odpowiedź brzmi "tak" - powiedziałem.

Zaczęliśmy biec.

Zwalilem dwóch, Daktyl zaś załatwił jednego kopnięciem w twarz.

Rozpięta między nami lina zrzuciła w przepaść jeszcze jednego. Spadałem w towarzystwie wijących się w powietrzu ciał, balkon rekreacyjny rósł coraz szybciej, a ja czekałem, kiedy Daktyl otworzy spadochron. Wydawało się, że lecimy całą wieczność. Mogłem już dostrzec ciała Wycjów, którzy przebyli tę drogę nieco wcześniej, rozciągnięte na chroniących balkon prętach. Wiatr świszcział mi ogłuszająco w uszach. Wzeszło słońce. "Ja tutaj ginę, a to cholerne słońce akurat sobie wschodzi!", pomyślałem.

W jasnym świetle poranka z pleców Daktyla wykwitł nagle wielki, jedwabny kwiat. Patrzyłem, jak oddala się ode mnie, a potem spadochron otwiera się z głuchym hukiem. Daktyl został nagle w górze, w chwilę

później poczułem potworne szarpnięcie, później zaś wisiałem już na końcu chwiejącego się majestatycznie wahadła i patrzyłem, jak cztery kolejne ciała rozbijają się o żelazne pręty.

Chwytał nas wiatr, unosząc daleko od wieżowca i obracając nami z wolna, kiedy zbliżaliśmy się do ziemi. Zastanawiałem się, czy wylądujemy na lądzie, czy w wodzie.

Wydostanie się z bagien zamieszkałych przez aligatory i ludożerców, a potem przedarcie się przez linię oddziałów ochrony wieży Le Bab stanowi zupełnie odrębną historię. Było to trudne, zajęło sporo czasu, ale udało się.

W czasie kiedy nas nie było, nastąpiło małe trzęsienie ziemi. Moje wędrówki w górę i w dół budynku, a następnie spadający niczym ulęgałki Wyjce - wszystko to sprawiło, że ochroniarze poczuli się w obowiązku "zrobić porządek z tymi uprzykrzonymi muchami". Na szczęście większość ofiar stanowili Wyjce.

Aby zakończyć ładnie tę opowieść, powinienem dodać, że Szalonej Molly bardzo smakowały brzoskwinie - ale tak wcale nie było.

Wszystko pasuje.

przekład - Arkadiusz Nakoniecznik